Tom III. **Nr. 8.**

11. Września **1860.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

ŚWIĘTY JĘDRZEJ ŻÓRAWEK

pustelnik.

Najpierwszy nasz Swięty był *Jędrzej Żórawek*. W Polsce się rodził jako ubożuchny wieśniaczek, a umarł na ziemi węgierskiej jako święty pustelnik. Na onej puszczy bardzo ostry żywot prowadził. Modlił się i pracował, kopiąc ziemię w ogródku, albo obrabiając drzewo w lesie na rozmaite potrzeby. Choć tak ciężko pracował, nie jadał jeno coś dwa razy na tydzień. Po dziennej zaś pracy takie było jego odpocznienie nocne: miał on w pośrodku izby pień jeden ogrodzony do koła ostrą trzciną i na nim siedząc, odpoczywał w nocy. Skoroż się we śnie na którą stronę przechylił, zaraz go ostra trzcina ukłóła i obudzić się musiał. Nie dosyć na tem! jeszcze nad głową zawiesił krążek drewniany, u którego ze wszystkich czterech stron poprzywiązywał kamienie. Otóż za każdą razą, jak mu się spiącemu głowa pochyliła, na którą bądź stronę, kamień w nią uderzał i sen z ciała wypłoszył. A gdy nadszedł post wielki, to na całe czterdzieści dni jeno sobie czterdzieści orzechów

zachował, przestając co dzień na jednym orzeszku — i tak aż do samej Wielkiejnocy przeczekał.

Tak martwiąc ciało swoje, doznał ci razu jednego cudownej przygody. Wziąwszy siekierę, wyszedł był w czas rano z domku i zapuścił się daleko w puszczę, pozierając za drzewem, co go potrzebował do jakiejś roboty. Zbiedzone ciało jego nie podołało tą razą ciężkiej pracy — omdlał i jako umarły leżał na drodze. Aż tu pojawił się młodzieniec piękny, na jakimś cudnym wozie bez koni jadący. I przyszedł do niego, podźwignął go z ziemi i omdlałe ciało złożył na on wózek cudny i tak-ci go przywiózł aż do chałupki, kędy zamieszkał na puszczy. Dopiero począł go cucić, aż nie ożył. Wtedy znikł, że nie wiedzieć gdzie się podział. — I poznał Święty, że to był Anioł Boży.

W takowej to łasce był u Pana Boga nasz św. Jędrzej pustelnik już za swego żywota. A cóż dopiero po śmierci!..... Mój człeku! nie wiem czybyś rychło policzył wszystkie cuda, które się działy za przyczyną tego Świętego. Jać tylko jeden opowiem:

Na onej pustyni, kędy zamieszkał nasz Święty, ukrywali się także rozbójnicy. Owóż razu jednego — a było to już po śmierci św. Jędrzeja — powadzili się byli owi rozbójnicy nie wiedzieć o co między sobą i przyszło do bitki. Z razu jeno kułakami się obkładali; aleć jak się bardziej rozżarli, dopiero się zaczęli dźgać nożami, aż jeden drugiemu na śmierć dojechał. Skoroż się zbóje opamiętali, poskoczą co tchu do tego, co był ranny, aby zobaczyć, czy też co z niego będzie, lub nie. Jeszcześ dychał nieboraczysko, ale już bardzo słabo — i nie było już żadnej nadziei, aby żył. Podnieśli go z ziemi i tak sobie myślą: gdzieby go złożyć?... Do jaskini, gdzie się na noc chowali, było nazbyt daleko — a nie opodal od tego miejsca stała właśnie chałupka pusta po św. Jędrzeju. Uradzili więc, żeby go tam zanieść i tak też zrobili. A zanim go donieśli, już-ci on w rękach im skończył.

Już tedy umarłego położyli w chacie, chcąc go nazajutrz pogrzebać. Skoro świt przychodzą do onej pustelni za umarłym. Aż tu nad podziw znajdą koleżkę swego przy życiu.

Polękli się wszyscy, jak byli i jęli uciekać — a on na nich zawołał:

— Nie uciekajcie bracia! święty Jędrzej wskrzesił mię mocą Boską.

Słysząc to, strach ich ominął i powrócili do chaty, a widząc go doskonale zdrowego rzekną:

— Kiedyś żyw i zdrów bracie, to chodźże z nami!

— Przenigdy! odpowie im — już ja się do samej śmierci nie ruszę z tej chałupki. Na tem tu miejscu pokutować będę za grzechy swoje, jako też i wam radzę, abyście zaprzestali złego rzemiosła.

Czy go usłuchali? tego nie wiedzieć; ale to pewna, żeć on sam się poprawił i jako pokutnik do samej śmierci na onej puszczy pozostał.

PIEŚŃ

o Najświętszej Pannie Częstochowskiej.

Witaj Jutrzenko rano powstająca,
Śliczna jak miesiąc, jak słońce świecąca;
Ty świecisz w miłej światu Częstochowie,
Gdzie czołem biją świata monarchowie.

Tobie z dwunastu gwiazd koronę dano,
Panią Cię świata wszystkiego nazwano;
Na Jasnej Górze, jaśniejszej nad słońce,
Tu lud upada do nóg swej Patronce.

Pocieszycielko ludzi utrapionych!
Do Ciebie, Panno, w nędzach niezliczonych
Lud się ucieka i prosi serdecznie,
By za przyczyną Twoją żył bezpiecznie.

Tam Twoje serce, kędy skarb przebywa,
Gdzie królewski stół Twój obraz nakrywa;
Niech odrobiny z niego nam spadają,
Twoi synowie niech głodu nie znają!

Otwórz Twój skarbiec, niech mamy Twe dary,
Któreś tu synom dawała bez miary;
Niech dziatki twoje doznają twej mocy,
Strzeż nas, o Panno, jak we dnie, tak w nocy.

Lubośmy Boga ciężko rozgniewali,
Jednakżeśmy się do Ciebie udali;
Obróć na nas Twe miłosierne oczy,
Niech nieprzyjaciel od Twych sług wyboczy!

Zastaw nas, Matko, Twojemi piersiami,
I syn Twój niech nas zasłoni ranami,
Niechaj gniew Boski w miłość się obróci,
Z złotym pokojem ku nam się nawróci.

A my Cię za to, ludzie utrapieni,
Gdy będziem przez Cię, Panno, pocieszeni,
Wychwalać będziem tu, póki żyjemy,
A potem wiecznie, gdy w Bogu zaśniemy.

Targowa przygoda Bartosza.

— Niech będzie pochwalony! rzekł Bartosz, wchodząc wieczorem do chałupy swego sąsiada Jędrzeja.

— Na wieki wieków! odezwał się gospodarz i podał mu rękę na przywitanie. — Siadajcie na ławie i powiedźcie mi, proszę, czyście wczoraj z miasteczka szczęśliwie powrócili, boście sobie nieźle u Szmulowej czubek gorzałką zalali. Czekałem ja na was dość długo, ile że mnie *wasza* o to prosiła; ale widząc, że nie ma końca, wsiadłem na wóz, wrzasnąłem na moje chetki i zostawiłem was przy kieliszku.

— Żeby was gęś kopła, Jędrzeju! zaklął Bartosz — wy nigdy nie dotrzymacie placu; zawsze się gładko wyniesiecie, gdy się człowiek w najlepsze zagada. A toć bywa, że dopiero

przy trunku język się ze wszystkiem rozplącze. Ja bym tam nie był i do karczmy zaglądnął, aleć mię coś w sumieniu gryzie, a to odtąd, jak mię ten drab przywłoka do procesu z panem namówił.

— O wa, a o cóż wy się to procesujecie z panem?

— To wy nie wiecie!?

— A coś mi tam moja baba mówiła, alem nie zmiarkował wszystkiego.

— Więc słuchajcie — odrzekł Bartosz. — Otóż widzicie, będzie temu ze cztery niedziele, jak się trafiło, że moja Jagusia zagnała chudobę na oną łączkę pańską, co jest za naszą zagrodą. Więc mi też pan zajął moje dwie krowiny. At no, kiedym tak zafrasowany onym wypadkiem zabierał się do dworu wyprosić nazad chudobę, naniósł czart, Panie odpuść, tego pismaka przywłokę, co się to często koło nas kręci. Owóż wziął się ten drab wywiadywać, czemu ja taki zaturbowany: a co to, a jak, a zkąd to ma pan prawo do tej łąki — zgoła o wszystkiem. Ja mu opowiedziałem wszystko po sprawiedliwości, a kiedym mu rzekł na końcu, że to mój tatuś nieboszczyk wynajmywali na odrobek od Pana oną łączkę, a to bywało i po kilka lat swoje bydło na niej pasał — tak-ci on przywłoka klasnął w ręce i krzyknął: — Ach, dobrze — będziemy procesować; Bartoszu, łąka będzie wasza!...

— Tfu — splunął Jędrzej — a bodajże go siarczysty piorun... I cóż wy na to?

— Ha, no — ciągnął dalej Bartosz — jak mi zaczął przygadywać i doradzać, tak-ci ja i przystałem na proces, jako żem był zły na ono zajęcie, choć ta i po słuszności się stało. Poszedłem więc zaraz na drugi dzień do miasta, dałem pismakowi na stemple i papier — alec już od tego czasu tak mi się markotno na sumieniu zrobiło, żem zaczął i do karczmy zaglądać, bo to jak mówią: *dobry trunek na frasunek.*

— Hej, hej, Bartoszu — ozwał się sąsiad — to nieczysta sprawa!!...

— Oj, mój Jędrzeju, przekonał ja się wczoraj o tem — rzekł Bartosz, a potem się oglądnął za siebie i szepnął sąsiadowi na ucho: — Ten przywłoka to jakiś niesamowity!

— Ha, ha — zaśmiał się Jędrzej — a cóż wam zrobił?

— A no, posłuchajcie — zaczął Bartosz — a toż mi na wspominkę jeszcze teraz ciarki po plecach chodzą. Owóż tedy jakeście się już wy z karczmy wynieśli, tak ja dalej z Kubą o moim procesie, boć to on nie głupi człowiek. Kazałem dać półkwaterek wódki; poczciwe Kubasisko rozczuliło się, kazał dać drugi, ja trzeci. Wychodzę nareszcie ostatni z szynkowni, chcę siadać na wóz, wytrzeszczam oczy, bo mi się w głowie wszystko kręciło; nic nie widzę. Domyśliłem się zaraz, że moje zniecierpliwione szkapska, jak zwyczajnie, same ruszyły do domu. Ha, cóż było robić? musiałem wracać pieszo do domu, choć mi głowa okropnie ciężyła, ba i nogi nie statkowały. Już tego wreszcie nie baczę, co się ze mną stało; pomnę tylko, jak gdyby we śnie, że gdym się z trudnością dobił do rozstajnej drogi wedle mostku, to mi on całkiem zniknął z oczu. Szukam, biedolę się, aż tu woda coraz jakoś bardziej przybiera; ani podobna przejść. Pomyślałem sobie, Boże odpuść grzechy, żeby cię trzysta kaduków porwało razem z mostkiem — aż tu ci ni ztąd ni z owąd postrzegam w rogatym kapeluszu blisko mnie stojącego kusiciela.

— Hou, pewnie ów przywłoka — zawołał Jędrzej.

— Nie, poczekaj — prawił dalej Bartosz.

— Dobry wieczór kmotrze! — rzekł do mnie ten nieznajomy; — co porabiacie? cóż wam to? czego się tak w kudły drapiecie?

— Dobry wieczór waszeci — mruknąłem — domyślałem się bowiem, co to za sztuczka, zwłaszcza, że nie pochwalił Pana Boga. Z razu myślałem, że to on przywłoka, bo taki był podobny do tamtego, jak dwie krople wody; takoż suchy jak szczypa i we fraczku. Tylko wiecie co — szepnął znowu Bartosz na ucho sąsiadowi — zobaczyłem u niego dwa rogi na głowie.

— Dwa rogi! — zawołał Jędrzej, odskoczył i przeżegnał się uczciwie.

— Alem się go nie zląkł bynajmniej — ciągnął dalej Bartosz. — Księżyc świecił pięknie, a ja, jak wiecie, kiedym podochocony, nie dam sobie lada komu w kaszę napluć. Jednakże,

pomyślałem sobie po chwili: lepiej dać mu będzie dobre słowo. Bo mnie tak poczciwe tatusisko, Boże świeć nad jego duszą, nauczyło: żeby być potulnym, nie brać nigdy na kieł, chyba gdy do ostatniego przyjdzie, a wszakże lada urwisz może człowiekowi dopiec, gdzie się ani spodzieje. Owóż tedy, dodałem spokojnie:

— A jakże się nie mam frasować, kiedy moje poczciwe kobiecisko już dawno mię wygląda, a tu przeklęty mostek znikł jak dym: żeby go trzysta djabłów wzięło!

Rozśmiał się kusal na to moje nabożeństwo i nabierając, jak się zdawało, lepszej ochoty, rzekł do mnie:

— No, kmotrze, jeżeli wam tylko o to idzie, to ja was przeniosę.

W to mi graj, myślę sobie, tego mi właśnie było potrzeba. To jakieś poczciwe i usłużne djablisko.

— No, jeżli wielmożny pan — rzekę — chcesz być tak łaskaw i nie żartujesz z biednego człowieka, to proszę.

— Zaraz — odpowiedział tamten i w tej chwili straszne orlisko nastawiło mi swego grzbietu. Ja nie wiele myślący skłoniłem mu się nisko do nóg, a potem wewaliłem się śmiało na niego i uchwyciłem za szyję. Raz tylko machnął skrzydłem, gdyby śmigą od wiatraku, a już wzbił się het tam w powietrze ze mną, jak gdyby z dudkiem.

— Ależ jaśnie wielmożny orle — rzekę pokornie — gdzieżto u kata lecicie? toć ja was prosiłem tylko o przeprawę do mojej chałupy; przecie ja nie mam gniazda na skale, jeżeli sobie pozwolicie powiedzieć.

— Milcz przeklęty gaduło! — ofuknął mię orzeł — a trzymaj się dobrze, byś nie zleciał i karku nie skręcił. A czy nie widzisz strzelca z fuzyą heń za krzakiem. Tego by jeszcze trzeba, żebym sobie dał wpakować nabój do brzucha, dla takiego jak ty szubrawca! A kto wie, głuptasie, czyby się i tobie nie dostało!

Nie było co na to odpowiedzieć, choć wam powiem szczerze, że mi się nie bardzo spodobał taki ton pański z temi pięknemi przezwiskami. Cóż było ano robić. Połknąłem wszystko spokojnie, choć mię zbierała chętka nakręcić temu urwiszowi

karku, boć właśnie był w moim ręku. Alem dał spokój, bom się zmiarkował, żeby to i dla mnie źle było.

— Ależ zważcie, jaśnie wielmożny orle — rzekę znowu — moja niska zagroda znikła mi już zupełnie z oczu. Gdzież to lecicie, jak oparzeni?

— Tam do kata, jaki mi zuch, wrzasnął orzeł — mówię ci obwiesiu, siedź spokojnie; bo jak cię kopnę nogą, to zlecisz na łeb i zetrzesz się na miazgę, że ani ziewniesz.

Pomyślałem sobie: Przeklęta gorzałko! do czegoś ty mnie przywiodła. Bartoszu! mogłeś sobie spokojnie chrapać przy piecu na ławie, a teraz jak włóczęga jaki wałęsasz się po nocy. Tu między kawkami za katy wietrzno i duszno, a co gorsza, mój znarowiony wierzchowiec djable mi się coś rozbrykał; gdybym go się tak mocno nie trzymał, jużby mię był podobno dawno z siebie zrzucił.

— No, cóż tam sobie pomrukujesz przebrzydły opoju — odezwał się znowu do mnie. — Tobie dobrze siedzieć, ale mnie dźwigać takiego bałwana! już mi skrzydła mdleją. Szczęściem, że ot księżyc niedaleko; musisz się na chwilkę za róg uchwycić, aż sobie trochę wytchnę.

Nie chciałem na to przystać, boć mi się wcale nie zdawało dyndać i nogami w powietrzu przebierać, nito wisielec jaki. A do tego jeszcze chwytać garścią za ów sierp błyszczący. Lecz wiele ten z siebie robi, co musi. Jakoż dolatując właśnie do samego miesiąca, tak się gwałtownie otrząsnął mój orzeł, żeć ja samochcący chwyciłem za rożek i zadyndałem w powietrzu.

— Do szczęśliwego zobaczenia — zagrzegotało z czartowskim śmiechem przeklęte orlisko. — Pozdrówcie odemnie waszą, jak ją zobaczycie; a tymczasem możecie sobie trochę podyndać i czekać na inną okazyę.

— O urwiszu, obwiesiu, cygańska duszo! żebyś z piekła nie wyjrzał! Tak to umiesz zwodzić poczciwych ludzi? — Nakląłem mu do woli, co mi tylko ślina na język przyniosła, boć już i widziałem, że mi się na nic nie zda.

Ha, owóż, kiedym onego tym sposobem pożegnał, obróciłem oczy moje na miesiąc i patrzę jakowej pomocy: aż tu potężne chłopisko gnój z kupy rozrzuca.

— Szczęść Boże — rzekę do owego chłopa, żeby go na język wyciągnąć. Ledwo mi odmruknął: daj panie Boże, aleć ja pytam się go dalej: — Jak się miewacie? co porabia wasza? czemuż to tak ciężko pracujecie, jak gdyby wam kto z batogiem stał nad karkiem? I, dalibyście pokój robocie. Hej, zażyjcie no sobie tabaczki, a opowiem wam moją przygodę.

Ale ów mrukliwy gnojek jak gdyby mię nie słyszał, robi sobie dalej i ozwał się tylko z pogróżką: — A ja wam mówię Bartoszu idźcieże sobie precz, bo tu dla was nie ma miejsca.

— Tać poszedłbym se chętnie, ale nie mogę — rzekę mu jeszcze pokornie. — Przecie wam tu nie zawadzam, boć się tylko troszynkę samego rożka czepiam.

— A toż właśnie, że nie mogę pozwolić, byście tu wisieli— odmruknął on gnojek. — Miesiąc mógłby się przegibnąć na jedną stronę, tobym i ja się skulnął. Idźcież więc precz, mówię wam po raz ostatni!

Już mię też niecierpliwość wzięła; widzę, że to niepeć więc rzekę mu po prostu: — Ej, co mi tam! komu się tu nie podoba, niech sobie idzie precz; ale ja się tu zostanę. Widzisz go, jaki mi zuch! Wiedz-że miesięczny drągalu, że mię teraz sam pan nie ma do rozkazania, a cóż dopiero taki drab i taki grzesznik, jak ty jesteś! Myślisz pewnie, że nie wiem, coś ty zacz? O, znam ja cię dobrze, ptaszku; i słyszałem ja nieraz od mego poczciwego tatusia, Panie świeć nad jego duszą, o twojem ukaraniu. Ho, ho, dobrze ci tak! A na cóżeś ty drągalu gnój rozrzucał w niedzielę podczas nabożeństwa? Jeżeli ano Pan Bóg za twój grzech cię karze, to przynajmniej bądź gościnny, a może ci to być pomocnem.

Lecz ten niegodziwy mruk od gnoju ani słowa nie powiedział na moje tak mądre gadanie, jeno podniósł widły do góry i gruchnął z całej siły w róg, za który się trzymałem. Róg się naturalnie ukruszył, a ja w ręku go trzymający het znowu lecę z powrotem.

— Szczęśliwa droga, Bartoszu! — zawołał teraz niegodziwy on człowiek. Pozdrówcie waszą odemnie, a nie spieszcie się tak prędko, bo wam tchu zabraknie.

Chciałem mu należycie odpowiedzieć, bo wiecie, że nie lubię w kieszeń chować takich przekąsów. Alec miałem sam o sobie myśleć, przewracając się jak snop słomy, to głową, to nogami na dół. Aż tu coś zaszumiało i zagęgało mi koło uszów. Myślę sobie — dobre spotkanie, to pewnie sznur dzikich gęsi także w podróży. Nie omyliłem się wcale. Stary gąsior na przodzie odezwał się do mnie:

— Bartoszu, jak się macie? a co porabia wasza i dzieci, czy wszyscy zdrowi?

— Odpowiedziałem, że wszystko zdrowe chwała Bogu, a nie zdziwiłem się wiele oną łaskawością gęsiorka, boć same dziwy działy się przedemną.

— A zkąd-to — zapytał dalej — dokąd tak spieszycie?

— Lecę sobie na ziemię z miesiąca — odrzeknę — bo mię tam niegodziwe orlisko zaniosło. — I nuż zatem mu całą rzecz opowiadać, jak się to stało.

— No, kiedy nie macie pilniejszego interesu, to się uchwyćcie za moją nogę — rzecze gąsior — polecicie w naszej kompanii.

Pochwyciłem go mocno za stopę i lecieliśmy tak razem całym sznurem.

Po małej chwilce zaleciało mi coś do nosa, jak gdyby moja *stara* szperkę na ogniu smażyła.

— Stójcie-no chwilkę! — zawołałem na mego pana gąsiorka — a wszakże to moja chałupa. Pozwólcie mi na nią się spuście.

— Gdzie tam Bartoszu, przetrzyjcież dobrze oczy a zobaczycie, że tu kałuża pod nami — rzecze gąsior. — Gdybym was puścił to pluśniecie jak szczupak do wody.

— Przecie ja to muszę lepiej wiedzieć, gdzie moja chałupa — obruszony, bo mię złość brała, że mię jeden gąsiorek chce rozumu uczyć. Więc nie wiele myślący puściłem z garści gęsią stopę i — klap — w samą kałużę. Brrr, tak mi się wtedy zimno zrobiło, żem się od razu przebudził...

— A bodajże was Bartoszu! to się wam tak śniło? — wykrzyknął na to sąsiad Jędrzej, co się z ciekawością przysłuchiwał całej historyi.

— A jakżeście wy myśleli, że naprawdę?

— A niechże was Pan Bóg kocha — zawołał Jędrzej — toście w kałuży nocowali?

— I, zaś tam. Podpity uczciwie zawlokłem się pod chałupę, przewaliłem się koło wrót i takem sobie chrapał aż do rana. Dopieroć kiedy moja Magdusia wstała i zajrzała mnie wedle domu, tak też i wylała na mnie konew wody, żebym się orzeźwił.

— Ha, ha, dobrze wam tak Bartoszu! A co, pójdziecie jeszcze do Szmułowej?

— Ej, niech ją tam choroba.....

— Ha, ha — śmiał się dalej Jędrzej — a co, proces będziecie dalej prowadzić?

— Ej, niech go tam siarczyste pioruny... Jakbym też chwycił tego przywłokę, tobym wszystko z niego wytrząsł.

— A to za co?

— Bo widzicie, Jędrzeju, mnie się widzi, że to on sam mi się we śnie zjawił, i pewnie-by mię też ze swoim procesem aż na miesiąc zaprowadził.

— A może i do piekła! zawołał Jędrzej. — Toć u tych przywłoków to tak, jak u samych czartów: Nic u nich nie znaczy zabić sumienie w uczciwym człowieku i posłać go na wieczystą zgubę.

— Oj prawda, Jędrzeju, pójdę się wyspowiadać, żeby tam Pan Bóg dobrotliwy nie nakarbował sobie już tego zaczątku nieuczciwej rzeczy.

— Idźcie, mój Bartoszu — rzekł Jędrzej i uściskali się serdecznie sąsiedzi. — A jak wam kąpiel smakowała? zaśmiał się jeszcze Jędrzej.

— Ej, no, no, dajcie już spokój kpinom — rzecze Bartosz — a pożyczcie mi lepiej gratu do koszenia owsa.

Wziął Bastosz grat, pożegnał się, i już od onej przygody nie wdawał się z żadnemi przywłokami, ani w żadne procesa.

P. L.

O psie,

jako przydatny jest człowiekowi w nie jednym razie.

Nie zbyt to dawno, kiedym wam opowiadał, jak wiernym przyjacielem jest pies dla człowieka. Nie tylko, że mu tam jedno, czy mieszka z swoim panem w królewskim pałacu, czy w kmiecej zagrodzie; że jak kocha pana, to i w jadle wiele nie przebiera, byle srogiego głodu nie czuł; ale do tego nieraz bardzo jest przydatny dla człowieka. Powiem wam więc teraz o tem że psy są różnorakie i jak się niemi wedle tego można posługiwać.

Owóż najprzód jest *brytan*, a ten jest bardzo mocny w sobie, i potem go zaraz poznasz, że mu się skóra mocno zwiesza po obu stronach pyska. Użytek z niego wielki jest przy domu. W dzień go trzymasz na łańcuchu, żeby cudzych ludzi nie kaleczył, jako że jest zły bardzo, kiedy się przywiąże do ciebie i do twego gospodarstwa. Przyzwyczaja się brytan do takowej służby i dla tego spi sobie w dzień spokojnie; aleć za to w nocy nie potrzebujesz stróża, kiedy go tylko spuścisz z łańcucha. Nie zmróży on wtedy oka, obchodzi całe gospodarstwo, straszy szczekaniem złodzieja, a jak mu się tam już jaki nawinie, to pewnie nie uciecze z całemi łytkami. Jeżeli go zaś pies dostać nie może, to cię choć szczekaniem zbudzi i ostrzeże.

Jest potem *kądel*. Pies to zwykły podwórzowy; broni domu i często go także na łańcuchu trzymają, choć nie jest taki zły i mocny, jak brytan.

Jako trzeciego postawię wam tu psa, co się zowie: *owczarek*. Bardzo to jest pojętne stworzenie i da się włożyć doskonale do pilnowania owiec. Ładne ma takoż wejrzenie. Kudły u niego długie a najczęściej białe, tak, że prawie sam jako owca wygląda.

Używają jeszcze, jako wiecie, psów do polowania, bo jedne gonią, inne zwietrzają zwierzynę i tem są przydatne strzelcowi. Psy do polowania są te:

Ogar albo *pies gończy.* Ma on nos przytępiony, a pysk gruby i krótki i trochę do góry zadarty. Bardzo on jest dobry do polowania po kniejach i lasach. Zwietrza zwierza między haszczami, a gdy go wypłoszy, wtedy z ogromnem szczekaniem użera za nim i czepia się go, bo bardzo jest w onczas zażarty.

Potem jest *wyżeł*, a ten ma długie uszy i służy do szukania zwierzyny w polu. A toście może nieraz widzieli, jak uczony wyżeł idzie na ściernisko czy między trawę i wietrzy za ptastwem. Kiedy ano przyjdzie i co zobaczy, wtedy wstaje, podnosi łapę do góry i czeka. Dopiero na rozkaz pana skacze i płoszy, tak, że strzelać łatwo.

Dalej należy tu *chart*, a ten jest postawy cienkiej, wysmukłej, a lekki i szybki, jak wiater. Ztąd on jest bardzo zdatnym do polowania w otwartem polu, a już to na zająca najlepszy, bo go potrafi dogonić i schwytać.

Jest-ci j szcze jeden pies, mały i o krótkich nogach, a ten się zwie *jamnik*. Dla tego go tak zowią, iż jest bardzo dobry do wypędzania z *jam* lisów i borsuków. Że zaś jest nie wielki, więc się tam wszędzie pomieści.

Są jeszcze inne psy, a z tych już nie taki wielki pożytek, jak zabawa. Owóż takie psy są: *pudel* i *mops*. Pudel jest dosyć wielki, ma włos kędzierzawy i wełniasty, mops zaś z krótkim pyskiem, wielkiemi oczami; do tego ma uszy przycięte i płową sierść na całem ciele. Potrafisz nauczyć takie psy przez kij skakać, służyć na dwóch łapach, a jak mu co rzucisz, choćby na wodę, to ci zaraz przyniesie. I różne takie zabawne sztuczki, co czasem setnie ubawią człowieka.

Posłuchajcież teraz o niektórych psach dobrze znanych, jak wielkie usługi robili ludziom. A toż nieraz człowiek ma psu podziękować za utrzymanie zdrowia i życia własnego: albo z wody wyratuje, albo przed złym człowiekiem obroni; a choćby i z własną szkodą.

Jest-ci z parę set mil od nas jeden kraj, co go zowią *Szwajcarja*. Kraj to strasznie górzysty. Czubałki tych gór to gdzieś aż po za chmury wystają, a tam już na nich czy lato, czy nie lato śnieg leży. Kiedy zaś zima nadejdzie, to już śniegu

jest wszędy pełno, a takie zawieruchy, że niech Pan Jezus broni. Niebezpiecznie teżto iść człeku śród takiej zamieci, a tu kiedy głód doskwiera tobie i dzieciom, to przecież się trzeba z chałupy wychylić. Oj straszne wypadki wydarzają się wtenczas! Albo się na człeka w drodze taki świat śniegu zwali, że go het do znaku zagrzebie — albo też kiedy zacznie pruszyć i pruszyć i tak wszystko zasuje, że ani krzaczka, ani drzewka nie widać, to wtedy się ludzie błąkają; nareszcie jeden i drugi się zmęczy, sen go zmorzy — a na onczas kładzie się na ziemi i już nie wstanie, chyba na sąd ostateczny.

Wiele bardzo ludzi zginęło tym sposobem w onych górach, i już nikt nie zasłyszał o nich, ani się doszukał choćby martwego ciała.

Tym końcem osiedli na jednej z tych gór pobożni zakonnicy. Góra ta zwie się św. Bernarda, a najwięcej ludzi ginęło tam zawsze na niej.

Od tego czasu, jak na górze św. Bernarda owi zakonnicy osiedli, nie ma już tyle wypadków straszliwej śmierci w śniegu. A pewniebyście nie zgadli, kto się do tego najwięcej przyczynia. Otóż nie kto inny, jeno psy. Jest tam kilka tych poczciwych stworzeń, a są rosłe i tęgie, żeby jak trzeba, i człeka potrafiły udźwignąć.

Owóż tak to bywa: kiedy spadną ogromne śniegi i wielkie zamiecie nadejdą, wtedy codziennie rano wypuszczają mnichy dwa swoje psy na zwietrzenie, czyli jakiego nieszczęśliwego tam nie ma. Przywiązują wtedy jednemu płaszcz ciepły, zaś drugiemu kosz ze żywnością. Litościwe te zwierzęta naprowadzają zbłąkanych i osłabionych na drogę do klasztoru; tych ano odgrzebują, co już ich śnieg zasypał i wyciem dają znać swoim panom, aby przyszli z ratunkiem dla nieszczęśliwych. Są tam także i dzwonki po drogach, któremi przywołują zabłąkani pobożnych mnichów na pomoc. Oni więc idą za psami, biorą nieszczęśliwych do klasztoru, i tam ich już różnemi sposobami rzeźwią, jeżeli dadzą się jeszcze do życia przyprowadzić. Jak atoli Pan Bóg chciał, że już nie ma ani iskry życia w takim zabłąkanym, wtedy zanoszą trupa do zimnej piwnicy, kędy sko-

stniały stoi, żeby go choć krewni po jakim czasie poznać i uczciwie pogrzebać mogli.

Razu pewnego stało się, że szło kilku podróżnych przez górę św. Bernarda, a z nimi kobieta z dwojgiem dzieci. Straszliwa była zamieć. Wiatr wył jakby stado wilków, a śnieg sypał się ze wszystkich stron, niby ogromne chmury. Wypadek chciał, że nieszczęśliwa matka zbłądziła. Idzie, idzie, a tu ani żywego ducha, ani żadnej wioski, ni mieszkania ludzkiego. Zaczęły ją wreszcie siły opadać, zebrało się jej niby na sen słodki i upadła z dziećmi do śniegu. Mróz trzaskący przejmował srodze ich kości. Biedne dzieci cisnęły się do matki i wołały ratunku — ale daremnie. Nieszczęśliwa kobieta skostniała już z małem chłopięciem, a starszy chłopiec snem znużony, leży jeszcze żywy. Aż tu nadchodzi taki pies z klasztoru. Zwietrzył on podróżnych, wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał sam sobą, ale nic nie pomogło. Chłopczyk tylko przyszedł do siebie, a pies uradowany, jak się jął łasić i przymilać do niego, tak też ów w końcu siadł mu na grzbiet i tym sposobem dostał się do klasztoru. Skoro też w klasztorze chłopca odebrali, poczciwe psisko póty wyło i wracało się na tę drogę, zkąd przyszło dopóki zakonnicy nie poszli za nim i nie przynieśli owej matki z drugiem dzieciątkiem; aleć już oboje byli nieżywi. Dziwnie sprytny i dobry był ten pies. Zwał on się *Barry*, a uratował życie przeszło czterdziestu ludziom. Już też i sam nie żyje; a długo zakonnicy za nim żałowali, bo im był bardzo przydatny.

Jeszcze wam powiem o innych psach, które są w *Syberji*. Syberja jest to kraj daleko od nas na północ leżący, a wiecznie tam prawie śnieg leży i zimno jest okrutne. Owóż w tym kraju są psy wielkie i mocne, a bardzo do *owczarków* podobne. Mają one włos długi, gęsty, zwykle rudawy, albo żółto-biały; uszy prosto stojące. Zwą je *psami sybirskiemi*. Bardzo to są pożyteczne stworzenia. Przez krótkie lato, co jest w Syberyi, nikt się tam o psa nie frasuje. Chodzi on sobie po nad wody, łapie sam ryby i to jest jego jedyne pożywienie. Potrzebuje się ano dobrze wypaść w lecie, bo w zimie dla niego wielka robota. Owóż, moi mili, w takim kraju, gdzie się prawie nic nie rodzi, tylko co ludzie ryby suszą i tem żyją, trudnoby było

chudobę jaką utrzymać, a do tego konia, co przecież jeść mu trzeba dać dobrze. Kto wie, czyby nawet koń wytrzymał na takie zimno. Używają więc tamtejsi owych psów do jeżdżenia. Do lekkich sanek zaprzęga sobie sybiryjczyk pięć takich psów, a wtedy może siąść troje ludzi i mogą jeszcze mieć dobre pół cetnara pakunku. Jak są złe drogi, to jadą na dzień po pięć albo i sześć mil, ale po dobrej drodze to dwanaście a nawet i dwadzieścia za jednym razem potrafią upalić. Podczas drogi nie dają mu nic jeść, aż dopiero na nocleg. Wtedy zeżre kilka suchych ryb i już sobie nie krzywduje. Sami przecie widzicie, żeby to koń w takim śnieżnym kraju nie wiele poradził; a coby to jeszcze kosztowało wyżywić konia uczciwie! Aleć Pan Bóg w mądrości swej niedościgniony wie, gdzie jakie sposoby ludziom dawać, aby im było dobrze.

Widzicie więc, jaki to wielki z psa pożytek! A toć mu człowiek nieraz własne życie winien! Ileż to razy pies rzuca się do wody i ratuje tonącego. Nawet nad morzami trzymają psów, a te są już wyuczone do wyciągania tych nieszczęśliwych, co kulną przypadkiem do wody. I jakżeż to nie kochać tak pociwego stworzenia! Pamiętajcież więc przeczytać sobie jeszcze raz, com wam już dawniej powiedział i pilnujcież tego, żeby psom bez potrzeby nikt krzywdy nie robił. A jak się wyuczycie być łagodnemi dla podłego stworzenia, to i ludzi miłować będziecie.

Słowa z pisma świętego.

Odstąp od nieprawego, a odstąpi złe od ciebie.

Człowiek mądry będzie milczał aż do czasu słusznego.

Jeźli nabywasz przyjaciela, przez doświadczenie go nabywaj, a nie łacno mu wierz.

Czegoś w młodości swej nie zgromadził, jakoż w swej starości znajdziesz?

Nieobyczajnej mowie niech nie przywykają usta twoje: albowiem w niem jest słowo grzechu.

Wszelka mądrość od Pana Boga jest.

Redaktor: B. Bielawski. Odpowiedzialny wydawca: E. Winiarz.